Danuta Gil-Łowkis

Stefan (3)

– Pracuję tutaj. A ja nie wiedziałem, że Karol nadal jest w Warszawie – powiedziałem, nie prostując jej domysłów.

– Został na uczelni. A ty co robisz?

– Zajmuję się dziennikarstwem. – Zawód wymyśliłem na poczekaniu i oczywiście skłamałem.

– To ładnie. Ale wiesz co, Stefan, to dobrze, że cię spotkałam, bo nie mogłam zrozumieć i zawsze chciałam cię o to zapytać, dlaczego nie zaprosiłeś na swój ślub rodziców? Boże, jak oni się przygotowywali. Twoja mama uszyła piękną suknię, w której wyglądała jak prawdziwa dama. Tak bardzo chcieli z ojcem godnie zaprezentować twój dom, a tymczasem ty podobno nie przysłałeś im nawet zawiadomienia. Stefan, dlaczego? Powiedz, dlaczego? – pytała, uporczywie patrząc mi w oczy. – Tego już za wiele! – pomyślałem. Z każdą sekundą narastała we mnie złość, w końcu zacząłem mówić, dozując słowa: – A czy pani na ślub Karola zaprosi jego nieślubnego brata?

Rozwarła ze zdumienia oczy, a ja wyszedłem.

Wspominając to spotkanie, poruszyłem się w fotelu. Nigdy nie lubiłem Wiktorii, widocznie dlatego mimo upływu wielu lat ponownie poczułem satysfakcję z celnie wymierzonego ciosu. Należało się jej! Świętoszka jedna! Taka cicha i pełna obłudy. Żyła zawieszona między normalnym życiem a światem mamuśki zakochanej w dawnych czasach i nigdy nie mogła się zdecydować, kim chce być. – Zresztą, to nie moje sprawy – wymamrotałem i natychmiast siebie poprawiłem: – Chociaż nie! Tak to jakoś bywa, że czyjeś problemy skutecznie pomagają przeboleć nasze niepowodzenia, bo od tego dnia Kraków i niefortunny pobyt w domu przestały mnie gnębić, no i, jeżeli dobrze pamiętam, właśnie wtedy utwierdziłem się w przekonaniu, że w życiu nieważne są dni minione, lecz wyłącznie te, które dzieją się dziś i które mamy przed sobą.

Rozbiegane myśli, czepiając się różnych momentów życia, nagle zaczęły wracać do Warszawy. Po co? Próbowałem to sobie wyjaśnić, ale rozpraszała mnie skrzypiąca na podwórku huśtawka i docierająca z daleka jakaś muzyka. Pytania plątały się. – Co to gra, radio czy jakiś inny samograj? I gdzie? – Rozglądałem się niewidzącym wzrokiem, lecz odpowiedzi nie szukałem zbyt wnikliwie, bo w oczach miałem już kolegów, przyjaciół, studenckie kluby, dziewczyny. Zawsze były fajne dziewczyny! Lubiły mnie, bo każdej prawiłem komplementy. Przez chwilę nawet chichotałem, a później przypomniałem sobie ten dzień, na pozór zwykły, jednak spośród wielu właśnie ten utkwił mi w pamięci.

Zacząłem wiercić się w fotelu i przebierać nogami, jakbym chciał gdzieś pójść, i nagle ni stąd, ni zowąd przypomniałem sobie Jacka, chociaż on z tym dniem nie miał nic wspólnego. Kiedyś zapytał tylko, jakby od niechcenia, czy wiem, dlaczego tak ochoczo przyjęto mnie na warszawski uniwersytet. Ilekroć o tym myślę, zawsze zastanawiam się, na jak długo zasiada wiedza usłyszana w głębokiej młodości, a często nawet w dzieciństwie. Ktoś kiedyś przekonał mnie, że partia zawsze pomaga swoim. Byłem swój, więc mi pomogła. Dość długo tak myślałem, choć nie powiedziałem mu tego. Prawda była kompromitująco naiwna, a szczerość wobec niego nie wchodziła w grę.

A dzień? Był szary, mglisty, jesienny. Na dziedzińcu odbywał się wiec. Stałem za firanką dodatkowo przysłonięty kotarą, ale czasami się zza niej wychylałem, ponieważ miałem kłopot z rozpoznaniem uczestników. Bardzo chciałem nie pomylić nazwisk. Ze względu na oczy szło mi to z trudem, bo pierwszy raz w życiu korzystałem z okularów i sam fakt ich posiadania bardzo mi przeszkadzał. Właśnie wtedy ją zauważyłem. Patrzyła wprost na mnie. Co za paradoks! Tyle lat, tyle ścieżek, a los nigdy w Warszawie nas nie zetknął, dopiero tego dnia. Siostra – Marysia. Dla mnie już dawno straciła urok Maleńkiej. Nawet nie wiedziałem, że jest w Warszawie, a tymczasem ona kończyła studia na uczelni po drugiej stronie ulicy. Wlepiła we mnie wzrok, który zawsze potrafił wysondować, co w człowieku siedzi. Zaskoczenie było paraliżujące, bo nie chciałem, żeby mnie ktokolwiek zauważył, a tym bardziej rozpoznał. Początkowo miałem nadzieję, że zmylą ją okulary, ale nie. Tak jak ja poznałbym ją po koniuszku palca, tak i jej nie przeszkodziła szarówka, okulary i firanka wspomagana kotarą.

Zatopiony w zdarzeniu sprzed lat przestałem odbierać hałasy dobiegające z zewnątrz, zapadłem w ciszę, która nadawała wspomnieniom specyficzną wagę. Nie wiem, jak długo siedziałem w fotelu nieporuszony, może myślałem, że nareszcie doszedłem do tego, dlaczego nie lubię Marysi. Pamiętam jedynie ciszę i bezruch, jakby wszystko wokół zastygło, chociaż ze swej natury było nieruchome.

Jacek, pseudoprzyjaciel, powiedział bez krygowania się: – Skocz do dziekanatu, bo podobno przestałeś być studentem.

– Zgłupieli, czy co? – pomyślałem i zamiast do dziekanatu poszedłem wybadać sprawę w POP.

– Przyszedłem...

– Co ty tu jeszcze robisz?– przywitano mnie, przerywając w pół słowa. Udałem, że nic nie wiem, dlatego zapytałem: – Czy to dowcip? Kończyłem studia, ale miałem zaległy egzamin mający wyrównać różnice programowe. Ja o nim zapomniałem, a oni nie. Odnalazłem Jacka. Poprosiłem: – Pomóż mi. Ty znasz więcej ludzi. Wymyśl coś. – Zrobił kilka dziwnych min, kilka gestów i zdawać by się mogło, że ma jakiś pokrzepiający pomysł. Tymczasem uraczył mnie informacją, którą pamiętam do dziś. Powiedział: – Stefan, głupio mi to mówić, ale może lepiej, że będziesz wiedział. Na uczelni chodzą słuchy, że to ty donosiłeś na chłopaków. Podobno zamierzają ci spuścić manto.

Tydzień później byłem już w Gdańsku. Dziesięcioletni pobyt poza Wybrzeżem przekształcił mnie w innego człowieka. Stałem się zamkniętym w sobie milczkiem.

Starych i nowych znajomości nie podtrzymywałem, przyjaciół nie szukałem. Żyłem jak odludek, na dodatek poza miastem, z czego byłem zadowolony, ponieważ dom, do którego się wprowadziłem, stał w pobliżu lasu, a ja zawsze lubiłem przyrodę. W budynku mieszkały trzy rodziny. Zająłem czwarty lokal, najmniejszy – dwa pokoje z kuchnią i łazienką, które w pełni zaspokajały moje potrzeby. Kontakt z sąsiadami miałem niezły, ale sporadyczny, a jedyną osobą, która czasami wpadała do mnie, zresztą bez zaproszenia, był Tomek, bo widocznie uważał, że skoro pomógł zdobyć i urządzić mieszkanie, jest nieomal współlokatorem.

Początkowo nadmierną ciszę w domu zagłuszałem muzyką, ale z biegiem czasu i ona zaczęła mnie drażnić, więc znalazłem inne wyjście – zacząłem wyjeżdżać na ryby. Kręcąc się po okolicy, odkryłem niewielką rzekę płynącą zakolami wśród drzew i młodych zarośli, tuż za płaskimi wzniesieniami pokrytymi zagonami zbóż. Znalazłem tu przestrzeń i zaciszne miejsce. Jedno z nich polubiłem szczególnie, zagospodarowałem je i zawsze tam rozbijałem namiot. W swoim siedzisku nad rzeką czułem się znakomicie, ponieważ byłem od ludzi oddalony, lecz istniała świadomość, że są blisko, tuż za miedzą. Jeździłem tam niemal w każdy wolny dzień i z czasem miejscowi zaczęli mnie uważać za swojego. Niektórzy przynosili owoce, przysiadali i gawędzili, a nawet zdradzali najlepsze miejsca na szczupaka lub węgorza.

W niedużej odległości od rzeki leżała wieś z piaszczystym placem, który odgrywał rolę rynku wyłącznie ze względu na przystanek autobusowy. To na nim wysiadałem i stąd z ogromną przyjemnością szedłem do swego